Lwów, 6. Lipca №80. Rok 1854.

NOWINY

Wychodzą we Wtorek, Czwartek i Sobotę. We Lwowie prenumerata roczna 6 Zlr. — półroczna 3 Zlr. — kwartalna 1 Zlr. 30 kr. — miesięczna 30 kr. m. k. W kraju z przesyłką pocztową rocznie 8 Zlr.— półrocznie 4 Zlr.—kwartalnie 2 Zlr. m. k.

Ogłoszenia wszelkiego rodzaju przyjmują się zapłatą od wiersza pismem petyt w przedziałce za jednorazowe umieszczenie po 3 kr., za następ. po $1\frac{1}{2}$ kr. i za dopłatą 10 kr. stępl. za każdorazowe umieszczenie. Bióro expedycyi w księgarni *H. W. Kallenbacha.*

DZIWO - ŻONA.

Powieść spółczesna

przez

Zygmunta Kaczkowskiego.

II.

(Ciąg dalszy).

Na taką powolność gospodarza xiądz się dobrodusznie uśmiechnął a podczas kiedy pani Sieniawska uznała za potrzebne jeszcze coś szepnąć mężowi, on wstał, przybliżył się do Kamila i rzekł mu półgłosem:

— Trochę nudny jest twój przyszły gospodarz. Ale ogiędność ta podoba mi się z jego strony i daje nam tak dostateczną rękojmię, że dom jego jest z gruntu moralny i porządny, że nie będziemy potrzebowali równie odpłacać mu ogiędnością.

Tymczasem Hania przyniosła okulary. Pan Dominik też zaraz włożył je na swoją kulbakę, wziął pierwszy z góry papier i zabrał się do czytania. Szczęściem trafił on od razu na metrykę, opatrzył ją, odczytał, potem wstał z ławeczki, przejrzał ją jeszcze raz do słońca i rzekł na pół głośno:

— Tak... bez wątpienia... dokument autentyczny... Camillus Łaski... *legitimi tori*... matka Kutasiewiczówna... ojciec Bonawentura.

Poczem usiadł na powrót na ławeczce, i trzymając metrykę w ręku, rzekł wpatrując się w niemniej ciekawie nań patrzącego xiędza:

— Tak... bez wątpienia... jeżeli znowu jaki inny dokument gdzieś się nie znajdzie, który to wszystko zaneguje... Ale nim się to stanie, powiedz-że mi jegomość dobrodziej, zkąd się Łascy wzięli w Stanisławowskiem?

— Tego już ja waćpanu dobrodziejowi — odpowiedział xiądz z lekkim uśmiechem, — wytłumaczyć nie jestem w stanie. Że pan Bonawentura Łaski jest rzeczywiście, że jest *bene natus* i *possessionatus*, za to mogę zaręczyć. Ale ani zkąd się jego familia tam wzięła, ani czy to jest ta sama familia, którą znamy z historyi, nie dochodziłem nigdy, ani nawet pytałem. Śmiałbym się jednak domyślać i utrzymywać, że wojewodowie Sieradzcy byli rzeczywiście protoplastami pana Bonawentury, chociaż dzisiaj prawie nic na tem już nie zależy.

— A jakże to być może, — spytał ciekawie Sieniawski, — kiedy jak powiedziałem, od roku 1607 nigdzie już nic o nich nie masz w archiwach?

— To jeszcze wcale nie zaprzecza mojego domysłu,— rzekł xiądz na to, zabierając się do dłuższego wywodu, — bo w Polsce, jak waćpanu dobrodziejowi zapewne wiadomo, lubo szlachectwo było w wielkiej cenie i zawsze przy władzy, nie miało ono jednak prawie żadnych xiąg swoich i o porządnej heraldyi zgoła nic nie wiedziano. Więc że na coś dokumentów dziś nie ma, nie powinno być nic dziwnego, bo przez to jeszcze rzecz sama być mogła i była. Wiadomo zaś każdemu obeznanemu z historyą, jakiemi drogami chodziła w Polsce wziętość, zamożność i sława pojedyńczych familii. Nagle wyniesienia się do ogromnych dostatków i pierwszych zaszczytów, jak się wynieśli Zamojscy, albo nagły upadek jak poupadali Zebrzydowscy, Zborowscy i inni, były to rzeczy zwyczajne i pospolite. Ale Zborowscy n. p. pominąwszy to że upadli, nie wyginęli jeszcze do szczętu, i chociaż o nich w tej lub owej epoce nie pisała historya, żyli i rozradzali się przezto. A tak jak oni, tak po upadku istnieli i inni. A podczas kiedy jedni zniżyli się tylko do stanu szlachty zwyczajnej, inni byli od losów przeciwnych prześladowani tak srodze, że poschodzili na posiadaczów małych cząstek w wsiach cudzych, albo nawet zupełnie się powyzuwali z dziedzictwa. Owóż taką samą koleją mógł pójść i znakomity ród Łaskich, a chociaż dzisiaj zapewne trudno-by było dowieść dokumentami, że pan Bonawentura jest prawnukiem Olbrachta lub Hieronima, jednak pan Bonawentura pieczętuje się Korabiem, i nikt nie ma prawa wydrzeć mu tego klejnotu.

— A... a... a! otóż to jest, — zawołał na to z niezwyczajnym ogniem Sieniawski, — co ja zawsze powiadam!.. Nie piszą o nich, bo poutracali fortuny i nieodznaczyli się niczem ani w bitwach ani na sejmach, ale że żyli, nie masz żadnego wątpienia! Ale jakże tu tego dowieść faktycznie?... I zamyślił się pan Sieniawski, a podczas kiedy xiądz, nie umiejąc sobie jasnej zdać sprawy z usposobień i całej moralnej istoty pana Dominika, znowu parę razy ciekawem rzucił okiem to na niego, to na swego pupilla, stary archiwista przesunął czapeczkę na prawe ucho, zdjął okulary i tak mówił dalej:

— Hm! bo widzisz jegomość dobrodziej, kwestya ta jest arcy-ważna i daleko ważniejsza, niżeliby ktoś mógł sądzić z pierwszego wejrzenia. Hm! bo to nie tylko Łascy znajdują się dzisiaj w tem położeniu, ale uważasz jegomość dobrodziej, — tu wstał pan Dominik i wskazując

palcem prawej ręki na siebie, dodał z emfazą: Bo to ja jestem Sieniawski!

— A czem byli Sieniawscy, — ciągnął dalej pan Dominik, siadając na ławeczce, — niechaj powie Rafał, pierwszy tego imienia autor, który się właściwie nazywał Granowski i był synem kasztelana Nakielskiego, lecz wziąwszy za żonę dziedziczkę Sieniawy, począł się pierwszy nazywać Sieniawskim. Czem byli Sieniawscy, niechaj powie syn jego Hieronim, który miał z Cebrowską trzech synów: Mikołaja, Prokopa i Alexandra, z których dwaj ostatni leżą tutaj w kościele Dominikańskim. Czem byli Sieniawscy, niechaj powie Alexander, podkomorzy Halicki i Prokop chorąży, Mikołaj, wojewoda ruski a Halicki i Kołomyjski starosta, który wygrał dwanaście batalii i Alexandra hospodarem Wołoskim uczynił; niech powie Mikołaj, hetman polny koronny i Rafał, Kamieniecki kasztelan, który miał potomstwo, wiem pewnie, ale o którem ci błazny kronikarze ani słowa nie wiedzą. Lecz niechaj mówią dalej Jan, sędzia ziemski i Hieronim, wojewoda ruski, Adam Mikołaj, kasztelan krakowski i hetman wielki koronny, starosta Stryjski i Rohatyński, który miał córkę Zofię, *primo voto* za Denhoffem a *secundo* za Czartoryskim!... Lecz dalej... utnij szyję, ani rusz! Ani jednej litery we wszystkich kronikach i herbarzach, które przewertowałem od deski do deski!... I znowu zamyślił się pan Dominik.

— Mości xięże, — rzekł on po chwili, lecz głosem zmienionym i niby błagalnym, — czy nie wiesz jegomość gdzie o jakim żyjącym Sieniawskim?

— Nie, mości dobrodzieju, — odpowiedział xiądz na to, który im więcej i bliżej zapoznawał się z archiwistą, tem więcej się bałamucił, — pierwszy raz zdybuję się z tem starożytnem nazwiskiem.

— Pierwszy raz się zdybujesz! — powtórzył pan Sieniawski ze smutkiem i już się znowu zbierał do jakiejś historycznej wzmianki o sławie Sieniawskich, ale mu xiądz przerwał tą razą i natychmiast wprowadził rzecz o cenie wiktu i pomieszkania.

Przystąpiono więc do roztrząśnienia obustronnych warunków i jak zwyczajnie długo i szeroko o tem mówiono. Była to dosyć dziwna i w innym razie może nawet zabawna rozmowa. Pan Dominik bowiem, bez żadnego względu na to, o co zapytywano lub co zarzucano, co chwila wtrącał jakieś historyczne wspomnienie o Sieniawskich lub Łaskich. I były-by może obydwie strony wcale nie przyszły do wzajemnego porozumienia się i do zgody, gdyby nie to, że obustronne warunki były słuszne i sprawiedliwe, i xiądz oglądając się niecierpliwie na słońce, widocznie chciał jak najprędzej tę sprawę zakończyć.

Jakoż rzeczywiście, nim słońce zaszło, sprawa ta już była zakończoną zupełnie a na małym stoliku przed panią Sieniawską leżały pieniądze na pół roku z góry wyliczone przez xiędza.

Umowa ta nawet została w ten moment wprowadzona w życie. Xiądz bowiem natychmiast poszedł ze swoim pupillem do gospody, ażeby sprowadzić jego bagaże, a tymczasem Hania z służącą zajęły się jak najskwapliwiej umieceniem i przyrządzeniem znanego nam pokoiku na przyjęcie nowego gościa.

A jak wrócili, zastali już wszystko gotowem. Xiądz wszedł do przyszłego pomieszkania Kamilla, obejrzał jeszcze sam wszystko a przekonawszy się, że nigdzie nic nie brakuje, obrócił się szybko do swego pupilla i rzekł:

— Tak tedy już wszystko jest załatwione. Żałuję bardzo, że nie mogę tu dni kilka przy tobie pozostać, ażebym się mógł przypatrzyć przynajmniej początkom twojego powodzenia na akademii. Ale dzisiaj już czwartek, o dwadzieścia i kilka mil jestem od mego kościółka, a w niedzielę msza święta. Bądź tedy zdrów kochany Kamilu. Niechaj cię Bóg najwyższy i twoje własne sumienie mają w bezustannej opiece. Ucz się i przykładaj wszystkich sił twoich do pracy, pamiętaj na to, że połowiczna nauka i luźne wiadomości, choćbyś ich nazbierał niewiedzieć jak wiele, w dzisiejszych czasach na nic się nie przydadzą. Dzisiaj każden powinien mieć swoje rzemiosło i doprowadzić w niem do mistrzowstwa. Inaczej czas jego terminowania będzie zupełnie stracony a on sam utonie na powrót w ciżbie tych nic nie znaczących jednostek, które żyją tylko dla liczby. To mając na pamięci, obliczaj się zawsze z każdą godziną i z każdą chwilą, nie lękaj się żadnych trudności i wytrwaj w każdem przedsięwzięciu do końca sił twoich. Bo chociażby twoje poświęcenia były nie wiedzieć jak wielkie, wszystkie wypłacą ci się w późniejszem życiu sowicie. Bądź tedy zdrów, a da Bóg wkrótce znowu się obaczymy.

To rzekłszy, objął on młodzieńca w swoje ramiona, przycisnął go do piersi, pokłonił się państwu Sieniawskim i przebiegłszy żwawym krokiem ganek i furtkę, zniknął w uliczce, okrywającej się szarym jesiennym zmrokiem.

Po odejściu xiędza wszyscy stali jeszcze przez chwilę nieruchomie na swoich miejscach. Kamil smutny, patrzący w ziemię i obcierający łzy obfite, które się dwoma strumieniami puściły po jego rumianych policzkach; — pani Sieniawska zamyślona, wzdychająca i przypominająca sobie zapewne którego ze synków swoich, utraconych przed laty i dzisiaj w grobie leżących; — Hania zaś ani smutna ani wesoła, ale z tak głębokiem zajęciem wpatrzona w twarz rozrzewnionego młodzieńca, jak gdyby z jego smukłej lecz w tej chwili przygarbionej postaci, chciała odgadnąć wszystkie dnie i wszystkie godziny od dziś się poczynającej przyszłości. Pan Dominik tylko stał obojętny i nieporuszony przy ostatnim gankowym słupie i z natężeniem się nad czemś namyślał. Zdaje się, że owe serdeczne i prawdziwie ojcowskie pożegnanie xiędza Augustyna z Kamilem naprowadziło go znowu na jego dopiero co zbitą wątpliwość o Łaskich i pochodzeniu Kamila.

I byli by tak Bóg wie jak długo stali wszyscy zatopieni w swoich łzach i marzeniach, gdyby nie to, że niebawem pokazała się w sieni służąca, zapowiadając, że wieczerza na stole.

Po wieczerzy, która się zawsze odbywała w pokoju bawialnym, Kamil chciał się natychmiast wynosić. Ale nie mogła na to w żaden sposób pozwolić wrodzona i długiem ćwiczeniem w drugą naturę zamieniona ciekawość pani Sieniawskiej. Nie wymagała ona wprawdzie niczego więcej od żadnego ze swoich studentów, ale też od tego żaden jeszcze się nie wykupił, ażeby jej na samym wstępie nie opowiedział wszystkiego, co tylko wiedział o sobie, o swoich rodzicach a czasem nawet o krewnych i przyjaciołach. Z szczególną zaś ciekawością zwykła ona była dowiadywać się o tem, na jakiej który z nich przedtem stał stancyi, co mu tam jeść dawano, jak dbano o jego inne potrzeby, które godziny dnia miał zwyczaj poświęcać pracy, co mu przeszkadzało w nauce, z którymi ze swoich towarzyszów żył w ścisłej przyjaźni i jacy to byli ci towarzysze? Takiemi też pytaniami zaczęła ona po kolei zarzucać Kamila. I z początku szło jej to śledztwo dość trudno. Pan Kamil bowiem był bardzo nieśmiałym i pomimo to, że na niektóre pytania odpowiadał nadzwyczajnie krótko a wcale nie węzłowato, zdawał się jeszcze do tego być nie bardzo przytomnym, tak jak gdyby jego dusza była gdzieś stamtąd daleko, albo jak gdyby sama w sobie zamknięta, nie chciała wcale dać się rozbudzić.

Ale pani Sieniawska miała szczególniejszy talent wybadywania. Słysząc, jak ona z największą cierpliwością wariowała po kilkanaście razy jedno pytanie, i jak za każdym razem coraz więcej przemawiających umiała dobierać i głosów i zwrotów, można było być przekonanym, że gdyby kamień była wzięła w takie obroty, to kamień byłby usta otworzył i odpowiedział. Nic więc dziwnego że i nieśmiały Kamil się nakoniec ośmielił i rozgadał w najlepsze. A skoro się tylko rozgadał, wyspowiadał się ze wszystkiego, o co go tylko spytano.

Dowiedziano się więc od niego, że jego ojciec ma wioskę w Stanisławowskich górach, i że mu się bardzo dobrze powodzi, ale że przytem nadzwyczajnie jest oszczędnym i gospodarnym a złośliwi ludzie obwiniają go nawet o skąpstwo. Powiadał dalej, że matki już niema od lat kilkunastu i że zaledwie jej rysy twarzy pamięta. Była to bardzo dobra kobieta a dopóki ona żyła, nie pozwalała na to, ażeby go do szkół dawano publicznych i trzymywała mu w domu nauczycieli. Lecz jak tylko umarła, ojciec go zaraz odesłał do szkoły i stawiał u profesorów. U tych profesorów było mu zawsze źle bardzo, bo wszyscy byli skąpi i zaledwie do tyla dbali o powierzone im dzieci, ażeby z głodu nie umierali. Lecz on niewiele dbał o to, bo przy ciągłej pracy nie ma się czasu myśleć o jadle. Pokarm dla ducha, mówił Kamil z zapałem, powinien być zawsze wyborny, a ta ziemska skorupa pożywi się lada ziemią!— I tak żywiąc obydwie części swojej istoty, przeszedł on całe niższe szkoły, będąc zawsze pierwszym pomiędzy swoimi towarzyszami, najsilniejszym na duchu i dotychczas wcale nie chorowitym na ciele. Teraz został on przyjęty na akademią. Widzi on przed sobą drogę piękną i szczytną, która kto wie na jakie zaprowadzić go może wysokości. A chociaż ta droga jest stromą i trudną, jednak on wcale nie traci nadziei i ufa zupełnie swym siłom. Wytrwałość i praca, sądzi on, zdolne są zaprowadzić człowieka wszędzie, gdzie tylko miejsce dla siebie wymyśli, choćby to miejsce miało być pod samemi gwiazdami... A chociaż-by się na takiej drodze codzień nowe i codzień silniejsze stawiały trudności, wszystkie zwalczy duch i silna wola człowieka. O tem wiedząc, chociaż się jeszcze nie obeznał dokładnie ani z tą drogą, którą teraz mu iść przychodzi, ani z celem, do którego zdążyć zamyśli, rzucił on sobie już główne zarysy planu, którego odtąd trzymać się będzie. Owóż zaraz pierwszą jego zasadą: nie tracić ani jednej chwili czasu na czcze zabawy, na zwyczajne studenckie rozrywki, ani nawet na pozwolone spoczynki. Duch jego nie potrzebuje ani nie cierpi spoczynku, a ciało jest to źwierzę poziome, które nie ma ani głosu ani praw do niczego. Praca powinna wypełniać odtąd wszystkie jego dnie i wszystkie godziny. Na pracy pokłada on wszystkie swoje rachuby i na niej buduje wszystkie nadzieje. Ona go też nie omyli i zaprowadzi tam, gdzie jest miejsce do dziś dnia jeszcze nie zajęte przez nikogo, miejsce, które mu się dzisiaj przedstawia jeszcze w mgłach szarych i nieprzejrzystych, ale które niebawem już może ukaże mu się w całej swojej jasności, ozłocone wszystkiemi promieniami południowego słońca. Ażeby mu nic nie przeszkadzało w postępowaniu tą drogą, zamyśla on ze swymi towarzyszami w żadne bliższe nie wchodzić stosunki. Kocha on ich wszystkich jak swoich rodzonych braci i gotów jest każdej chwili wszystko dla nich poświęcić. Za wielkie szczęście nawet miał-by to sobie, gdyby mu się dobra po temu wydarzyła sposobność. Celem nawet jego nie może być nic innego, jak stać się jak najpotężniejszym filarem tego ogółu, którego jest cząstką. —Ale na zabawki z tym ogółem nie ma on do stracenia ani jednej sekundy. A że jeden towarzysz jest zawsze potrzebny, więc i on ma jednego z którym będzie żył bliżej. A tym jednym jest niejaki pan Edmund.

(D. c. n.)

WYJĄTEK Z DRAMATU „UKRAINKA."

Akt III. Scena ósma.

(Ciąg dalszy).

Wojewoda.

O nie, nie bój się — nie, ty ujdziesz zdrowo;
Ja dałem słowo, ja nałożę głową.

Włodzimierz.

(staje nagle.)

Ty wojewodo?

Wojewoda.

Jam przyrzekł za ciebie,
Tyś nie dotrzymał, ja odniosę karę,
Ja będę więźniem, o wodzie i chlebie!
Ja dam im okuć moje ręce stare,
Albo na pniaku tę głowę położę.

Włodzimierz.

Nigdy, o nigdy! ojcze mój, o Boże!

Wojewoda.

Tak, prawda, nigdy! Tego nie dożyję.
Mam pod miecz, lub pod sznurek dawać szyję,
To lepiej przecie, ot jednym wystrzałem,
Raz się pożegnać już z tym światem całym!

(bierze pistolet.)

Tobie zostawiam to co mam na świecie;
Słuchaj. Czy będziesz kontent z tej śpuścizny,
Zostawiam w szacie sierotnej me dziecię,
Klątwę ojcowską — i klątwę ojczyzny!

(odwodzi kurek.)

Włodzimierz.

Panie co mówisz?

Wojewoda.

Mówię co dotrzymam,
Bo innej drogi do ratunku nie mam.

(bierze za rękę Włodzimierza.)

Chodź zemną razem, a przyszłość pogodna,
Ojczyzna nasza zbawiona, swobodna,
Twój los tak świetny, Helena przy tobie.....

(Włodzimierz odsuwa się.)

Lub idź odemnie, Barski bohaterze!
Idź! skakaj karle na olbrzymów grobie,
Cieniom twych ojców przedrzeźniaj nieszczerze;
Karłowatemi bitwy, jak drewnianą
Szablą chłopięta. Potem ukochaną
Oblubienicę porwij w twe ramiona,
Całuj i pokaż, jak twój ojciec kona,
Lecz nie, ona cię od siebie odtrąca...

Włodzimierz.

(blady, drżący pociesza.)

Panie! litości, mnie się w głowie mąci,
Ani zrozumieć już nie mogę kończaj

Wojewoda.

(szydząc.)

A toż to jasne, jaśniejsze od słońca!
Tylko że Waszmość słabszy od kobiety,
W głowie się mąci, zrozumieć nie wstanie,
Ot widzisz, tu jest pistolet nabity
Kulką, a może wiesz co jest strzelanie?
Więc wiedz: żyć nie chcę nędzny i spodlony,
Nadziejem świetne położył na szalę,
Tyś złamał słowo, więc żyj ty zhańbiony,
Ja,...

(patrzy na zegar.)

Za pięć minut w łeb sobie wypalę!

Włodzimierz.

Oh! czekaj jeszcze!

Wojewoda.

Myśl, patrz, póki można.

(wskazuje mu papier.)

Oto jest łaska Carowej wszechmożna,
Helena, szczęście, sława i dostatki;
Błogosławieństwo twej ojczyzny matki,
Albo, jak niechcesz, to mnie, mego dziecka,
Serce przebije twa ręka zdradziecka;
I jednem pchnięciem swawolnem twej nogi,
W otchłanie zguby wtrącisz kraj nasz drogi.

(wskazując na zegar.)

Patrz — licz minuty. No! liczże minuty!

Włodzimierz.

(patrzy wzrokiem obłąkanym.)

Panie, litości!—

Wojewoda.

(powoli.)

Już minęła jedna.

Włodzimierz.

(z jękiem.)

Helena moja!

Wojewoda.

O sierota biedna:

(milczenie.)

Włodzimierz.

Ja zbójca, zdrajca, o kraju mój święty.

Wojewoda.

(którego głos drży.)

Znów jedna, masz trzy.

Włodzimierz.

Przeklętym! przeklęty.

(Milczenie — twarz Wojewody bledniejе, i widać w nim wzruszenie mocne ale nad niem panuje jeszcze. W Włodziemierzu walka coraz gwałtowniejsza.)

Wojewoda.

Dwie jeszcze.

Włodzimierz.

(ciśnie rękę do czoła, co jakby wewnętrznym bolem zmarszczone.)

Szaleję! o nieba szaleję.

Wojewoda.

(z złożonemi rękoma zdaje się po cichu modlić po tem mówi.)

Helenka przyjdzie, spyta co się dzieje,
Kiedy ten wystrzał przerwie nagle ciszę,
Idź do niej — wstrzymaj...

(Zegar bije godzinę. Wojewoda porywa pistolet. Włodzimierz jedną ręką wstrzymuje, drugą chwyta pióro.)

Włodzimierz.

Podpiszę, podpiszę!

(podpisuje i rzuca mu papier.)

Na masz już starcze! masz zapis na duszę.
Tobąż pogardzać, nienawidzieć muszę!
Klątważ do ojca imienia związana?
Chciałem cię kochać, dałem ci me serce,
A tyś mnie rzucił pod stopy szatana!
Zrobiłeś ze mnie ojczyzny mordercę!

(Wojewoda jeszcze blady lecz oddychając już swobodniej, zabiera papier i pistolet i wychodzi do swego pokoju.)

(Koniec sceny ósmej.)

Szkółki wiejskie w Tarnopolskiem.

Znając niegdyś obwód tarnopolski i z stosunkami jego dokładnie obznajomion, uczułem się w sposób miły przejęty, gdym go niedawno po kilku tylko leciech niebytności w różnych przejechał kierunkach. W każdem miasteczku, w każdej wiosce witała mnie młodzież chędogo odziana, z książką pod pachą, do lub ze szkoły idąca. Karczmy — choć

to była niedziela — zastałem, przynajmniej w porównaniu z przeszłością, próżne, a gdym w jednej włości zapytał miejscowego arendarza o jego niegdyś tak licznych gości, odpowiedział mi wskazując zasmuconym wzrokiem na pobliski, świeżo wybudowany dom, nad którym właśnie połyskujący w promieniach słońca dzwonek wygłaszał ostatnie słowa zwołującej swej mowy: «Tam jest teraz szynkownia, tam miejsce muzyki i tańców, tam miejsce posiedzeń gromady, tam dzisiaj śpieszy każdy, i młody i stary! Tak panie» — dodał — „inne były to czasy, w których karczma była jedynem miejscem podziału, pociechy i wesela dla chłopa. Wtedy wódka była dlań jeszcze wszystkiem i każdemu było przy tem dobrze. Cesarz miał podatek, pan spory worek z propinacyi, chłop wygodę a i Moszkowi okroiło się nieco z tego. — Nowość zaś ta, na którą się pan patrzysz, a która jest jeszcze gorszą od stowarzyszenia wstrzemięźliwości, komu i jaki, pytam się, zysk przyniesie?» I po raz drugi rzucił spojrzenie pełne goryczy i niechęci na szkołę. Ta zaś przyjmując właśnie gromadnie śpieszącą do niej młodzież a niemało i starszych włościan, spozierała i na mnie tak zapraszająco, że się oprzeć nie mogłem, i — porzucając brodatego Moszka w połowie jego jeremiady nad upadkiem wódczanej świątyni — poszedłem za jej gościnności spojrzeniem.

Zaprawdę nie wiele tak miłych wrażeń doznałem w czasie moich przejazdek, niewiele tak przyjemnych chwil spędziłem w życiu mojem, jak w tej chędogiej szkółce, której ściany wizerunek najjaśniejszego pana i drukowane tablice, zapełnione najmoralniejszemi sensami w polskim i ruskim języku zdobiły! Uczniowie płci obojga, należycie oddzieleni, — przysłuchiwali się z natężoną, że tak rzekę pobożną uwagą naukom proboszcza a później nauczyciela, który z globusem w ręku objaśniał kształt i podwójny obrót ziemi tak jasno i namacalnie, iż widzieć mogłeś, jak wyraz niewiary, cechujący z początku twarz niejednego z słuchaczy, przemieniał się stopniowo w wyraz wątpliwości, podziwu, a na koniec przekonania. Co za rozkosz, pomyślałem, dla owego męża, który przed półtrzecia prawie wiekiem wyrzekł swe rozkazujące „*Sta sol!*” co za rozkosz dla Mikołaja Kopernika widzieć swych rodaków, niedawno jeszcze na pół dzikich i ciemnych helotów, wierzących chyba wtedy tylko w ruch ziemi, gdy w dno niejednego zaglądnęli kieliszka, co za rozkosz, mówię, dla niego widzieć ludzi tych teraz tak obznajomionych z swoim systemem!

Po wszystkich szkołach, które zwidziłem, udziela się taka nauka „świąteczna” regularnie każdej niedzieli i każdego święta młodzieży starszej, która już pierwsze trzy klasy przeszła, i ma na przemian to religią, to geografią lub historją natury, to gospodarstwo, ogrodnictwo, to znów wyjaśnienie celu i pożytku instytucii szkolnych, nareszcie wyuczenie rdzennych przepisów moralności lub budujących pieśni za przedmiot.

W niejednej gminie składają się słuchacze nauk takich świątecznych w trzeciej części z ochotników, którzy na prożby swe otrzymali pozwolenie, módz na takowe uczęszczać a niemal we wszystkich gminach znachodzi nauka ta taki odgłos, że powszechnem już jest uznanie, jako po kościele i cerkwi niemaż godniejszego miejsca do przepędzenia chwil świątecznych, jak szkoła. I nierzadko w święta nawet podobne, jak ruski Jordan, dochodzą miejscowego proboszcza i nauczyciela prożby o podobne pokarmy dla serca i umysłu.

Nauka „tygodniowa“ obejmuje przedmioty dla szkół trywialnych w ogóle przeznaczone, niemniej śpiew „hymnu ludu“ i innych budujących pieśni. Każdego dnia idzie młodzież szkolna w porządku na mszę św. a za najświętszy obowiązek mają sobie nauczyciele, naprowadzać takową na drogę obyczajnego, religijnego życia. Surowemu czuwaniu obwodowego c. k. urzędu nad uczęszczaniem do szkół, ale więcej jeszcze władzy przykładu i owego, coraz więcej w lud przechodzącego przekonania o pożytku instytucyj szkolnych, przypisać to należy, że stosunek młodzieży do szkoły chodzącej do owej w wieku szkolnym zostającej, już dziś w przecięciu 83% dochodzący, z każdym dniem się powiększa. Niemniej i to za dzieło przykładu i przekonania uważać potrzeba, że gminy które dla małej liczby członków lub nieodpowiedniej zamożności do szkół sąsiednich przyłączyć musiano, dziś się usilnie o dobrodziejstwo szkoły własnej dopraszają.

Obwód tarnopolski liczy obecnie 175 szkółek trywijalnych, z których każda ma swojego własnego, dobrze co do utrzymania zabespieczonego nauczyciela. Nie mniej jak 161 tych szkółek są dziełem nowszych czasów, które pod przewodnictwem godnego, wszystkiemu co dobre i szlachetne, chętnie pomoc swą ofiarującego c. k. obwodowego starosty p. Piwockiego, czynny i zasłużony w około szkół c. k. komisarz obwodowy p. Onderek do życia powołał.

Dla szczupłości miejsca niemogąc określić obszaru tego rozwijania się życia umysłowego i zbawiennych tegoż skutków, nie mogę pominąć sceny, której byłem świadkiem, a która życie to i owe skutki lepiej wyjaśni, aniżeli to opis uczynić by był w stanie. W jednej szkółce przytomnym będąc nauce, ściągnął na się szczególnie uwagę moją chłopiec nie więcej jak lat dziesięć mający, nietyle ujmującą swoją powierzchownością, jak więcej trafnością, pewnością i jasnością odpowiedzi swoich na wszystkie pytania, które mu nauczyciel zadawał. Upodobanie moje w tym chłopaczku było tak wielkie, iż mimo wielu przyczyn do przyspieszenia mojego odjazdu niemogłem się oprzeć chęci zaznajomienia się z nim bliżej. Na zapytania moje, które wracającemu do domu po ukończonej nauce szkolnej o rodzinie, liczbie członków i bycie takowej zadawałem, od-

powiadał mi chłopczyna tak rozsądnie i zajmująco, iż sam nie wiem kiedy stanęliśmy przed białą chatką jego rodziców. U progu domku powitało nas dwoje staruszków: mnie z ową szczerą staropolską gościnnością, która w włościanach tylko naszych przechowuje się jeszcze, małego zaś Marcinka z takiemi pieszczotami, że z tychże mogłem zaraz wnioskować na stopień pokrewieństwa, na którym staruszkowie i malec względem siebie stali. I nie omyliłem się. Byli to dziadek i babka Marcinka, którego rodzice, jak się dowiedziałem, z sierpem byli wyszli w pole. Wewnątrz chatki zastałem ubóstwo. Ale w ubóstwie tem przebijał się ów zmysł symetrycznego porządku, który z stopniem cywilizacyi wzrasta, a który przed kilkoma jeszcze laty nie uważałeś u naszego chłopka. W kilku słowach wytłumaczyłem staruszkom powód moich odwiedzin, a zauważawszy, jak wielką przyjemność robiły im sprawiedliwe pochwały, których — mówiąc o Marcinku — nieszczędziłem, począłem dalej mówić z chłopcem, a w końcu wezwałem go, by opowiedział dziadkowi i babce, czego się dziś w szkole uczył. Marcinek uczynił zadość temu wezwaniu ochoczo i z zamiłowaniem. Nareszcie wziął do rąk książeczkę i odczytał płynnie i zrozumiale jedną z owych ładnych obyczajowych powiastek, które przeznaczona dziś dla użytku szkół niższych „książka do czytania" zawiera. Zachwycony sam spojrzałem na staruszków. Babka płakała a dziadzio dużą szorstką swoją ręką ściskając dłoń moją, zawołał wzruszonym głosem: „Zaprawdę panie, teraz dopiero żal będzie człowiekowi umierać."

Wiele to trudności miał rząd do przełamania, zanim dzieło tyle zbawienne przyprowadził do skutku! Tylko przy pomocy organów tak zdolnych i wytrwałych, organów, które mądre zamiary rządu zrozumiały i pełne były chęci, takowe mimo przeszkód wykonać, podołano ogromnemu temu zadaniu! W interesie więc całej naszej prowincyi jak i w ogóle cywilizacyi, należało by sobie życzyć, aby wymienionego obwodowego komisarza p. Onderka, który zadanie swoje w obwodzie tarnopolskim tak szczęśliwie rozwiązał, postawiono na stanowisku w średnicy krajowego rządu, z którego by zbawienną, z taką wytrwałością i miłością wykonywaną, i tak szczęśliwemi skutki uwieńczoną działalność swoją, mógł i na inne rozprzestrzenić obwody.

Kurowce, dnia 14. czerwca 1854 r.

W. Dobrowolski.

Galerya wodzów.

10. Henryk baron Hess.

Jenerał-zbrojmistrz polny Henryk baron Hess, naczelnik kwatermistrzowstwa wojsk austryackich, tajny radca, właściciel 49. pułku piechoty, pochodzi z rodziny w wieku XVI. jeszcze uszlachconej. Urodził się w Wiedniu w roku 1788, a w r. 1805. wstąpił do wojska, wszedłszy jako podchorąży do pułku piechoty Ignacego Giulaj. Przeszedł w czasie pokoju do głównego sztabu, a w r. 1809. został porucznikiem przy kwatermistrzowstwie.

Urzędowe sprawozdanie o bitwie pod Wagram, wymienia porucznika Hessa, jako zwrócił na się uwagę wodza naczelnego. W tym samym roku zostawszy drugim kapitanem, zajmował się przy głównym sztabie układem dziennika wojny i wyrabianiem planu rozlokacyi wojska. W r. 1813. zostawszy kapitanem odbył wszystkie wyprawy niemieckie, i był w końcu przyłączony do dyplomatycznej misyi hr. Bubna w Dreznie. W sprawozdaniu o bitwie pod Lipskiem znajduje się także zaszczytna o nim wzmianka, i w tymże roku dekorowany został kawalerskim orderem ś. Leopolda i orderem ś. Włodzimierza IV. klasy. Niemniej czynny w r. 1814. przy lekkiej dywizyi hr. Bubny, odznaczył się w utarczkach pod Genewą, St. Julien i Lugdunem. W 1815. był przy głównym sztabie, został majorem, a po skończonej wojnie został przydzielony do centralnego bióra wojny. W r. 1822. jako podpułkownik już, był wojennym komisarzem armii okupacyjnej w Turynie, a w r. 1829. został pułkownikiem, właścicielem pułku 2. piechoty, a w 1831. za radą arcyksięcia Karola został przeniesiony nazad do sztabu, jako główny kwatermistrz przy ruchomym korpusie w wyższych Włoszech.

I tam to właśnie, gdzie wszystkiemi siłami walczono naprzeciw dawnej pedanteryi, w stolicy i innych prowincyach tyle ulubionej, wówczas jeszcze tam starano się, proste codzienne rozkazy podnieść do pewnej wartości literackiej, a za pomocą ludzkości w obejściu się, i troskliwej staranności, z wodza zrobić ojca, a koleżeństwo wojskowe rodzinnym prawie spoić węzłem. — Tam to pułkownik Hess, niejedno pożyteczne zasiał ziarno, które bogaty umiało przynieść plon w dniach Kustocy i Nowary. Pierwszem jego dziełem był plan nowych prawideł co do manewrów piechoty, jazdy i artyleryi, ułożony wedle uwag przez Radeckiego uczynionych.

W roku 1834. został jenerałmajorem i brygadierem, a w 1840. objął po jenerale Rothkirch kierunek robót kwatermistrzowskich. Wysłany poźniej do inspekcyi austryackiego kontyngentu przy związkowym wojsku niemieckiem, gdzie się odznaczył nietylko swemi wyższemi umysłowemi własnościami, ale i swą osobistością ujmującą. Ożenił się powtórnie z córką swego kuzyna, ówczesnego rajcy apelacyjnego, barona Hess.

W roku 1841. wysłany był do Stambułu, z pismem cesarskiem, winszującem wstąpienia na tron Sułtana Abdul-Medszyda, przy której to sposobności dostał jeden z wyższych orderów tureckich. Mianowany nareszcie feldmarszałkiem-porucznikiem w r. 1842. wysłanym został w r. 1848. do wojska włoskiego jako naczelnik sztabu, gdzie przez cały

ów czas pozostał już przy boku sędziwego wodza naczelnego.

Po przybyciu korpusu Nugenta, on to ułożył ów plan śmiały szybkiego pochodu na Mantuę, Kurtatone i Wicenzę. Był to plan mistrzowsko ułożony, którego koniecznym musiało być skutkiem, albo obejście linii operacyjnej wojska Sardyńskiego, albo zniszczenie onego — a na każdy przypadek zwiedzenie nieprzyjaciela.

Cesarz uznał jego zasługi obdarzeniem krzyża kawalerskiego orderu Maryi Teresy. Gdy w r. 1849. Sardyńczycy wymówili zawieszenie broni, Hess przedłożył plan owej pięciodniowej kampanii, która w dziejach wojennych zajmie na zawsze znakomite miejsce.

Radecki w sprawozdaniu swojem, takiemi przemawia słowy: «Uznając zasługi czynnej służby wszystkich swoich podwładnych przy głównym sztabie, muszę przed wszystkiemi wymienić jeneralnego kwatermistrza Hessa. Jemu to — przyznaję z całego serca — należy się największa część zasługi — za szczęśliwe powodzenia wojenne w ostatnich kampaniach! Z jasnym poglądem na całe stanowisko i na chwilę dogodną, łącząc szybkość w wykonaniu, głównego celu z oka nigdy nie stracił. Mając w nim zupełne zaufanie, prowadziłem wojsko — skoro był przy moim boku — do pewnego zwycięstwa. Wojsko wiedziało o tem i zwyciężyło“.

Po bitwie pod Nowarą przesłał mu cesarz wielki krzyż orderu ś. Leopolda. Przyczem został wedle przepisów do tego orderu stosujących się, komturem orderu Maryi Teresy, i obdarzony wreszcie orderami wszystkich prawie mocarstw europejskich, i oraz mianowany feldceugmeistrem i naczelnikiem sztabu jeneralnego wszystkich wojsk austryackich i baronem państwa.

Plany kampanii obudwu włoskich nawet nieprzyjaciele Austryi uznają za najznamienitsze arcydzieła. Z tego względu twórca tych planów, baron Hess, za najzdolniejszego uznawany jest dzisiaj strategika, rozmaitych wojsk europejskich zgromadzonych i gromadzących się na Wschodzie Europy, który swych zdolności dał praktyczne, świetne dowody.

Rozmaitość.

* W kronice poniedziałkowej *Gazety L.* czytamy: «Publiczność względna oddaje słuszne pochwały talentom artystów świeżo przydzielonych do sceny tutejszej, a wita oklaskami zaraz na wstępie każdego z dawniejszych, których zasługę tyloletnią przy naszym teatrze w wdzięcznej przechowuje pamięci. Jawnie tem samem i mimowolnie wynurza, że lubo ceni prace, talenta, usposobienie, gorliwość i chęci, nie przygasa atoli w uczuciu jej nigdy wdzięczność dla tych, którzy wiek spędzali w posługach publicznych, i z szczerem poświęceniem żyli dla kunsztu, dla publiczności, cierpliwi w pracy, wytrwali w dolegliwościach, jedynie chlubni zaszczytem, jaki im jednała w obliczu świata usilność w pracy. Dyrekcya ceniąc nader to piękne a szczere wyznanie publiczności, i że sama pragnie jej względów, równie jak że jest gorliwą o postęp i wzrost kunsztu, postanowiła na czas pewny poruczyć przedstawienie sztuk wyłącznie członkom przy dawnej scenie naszej zasłużonym, z wezwaniem wszystkich, co przy niej udział miewali. Jakoż na następujący abonament osobny w tej myśli ułożyła repertoarz. Członkom zaś swoim świeżo do naszej sceny przydzielonym przeznacza pod ową porę nowe powołanie, a to jest, w dalszych kraju stronach roznniecać ów zapał do sztuki, z którego tyle się szczyci stolica, ażeby i odleglejsi korzystać mogli z owoców prac tych, które my w talencie nowych członków sceny naszej zawsze cenili, zawsze z zaszczytną przyjmowali pochwałą, i dla tego też pewni jesteśmy, że publiczność, co tyle się okazała pamiętną zasług łożonych, z wdzięcznem wspomnieniem powita ich za powrotem.»

To oświadczenie od dyrekcyi, zapowiadające iż sami dawniejsi artyści będą przez czas jakiś występywali i że dyrekcya to czyni po woli publiczności, i z gorliwości o postęp i wzrost kunsztu, żadnym sposobem pogodzić nie możemy z drugiem wyrażeniem się, iż dawniejsi członkowie są *jedynie chlubni zaszczytem* jaki im *jednała w obliczu świata usilność w pracy*, że tylko wdzięczność wiąże publiczność lwowską z dawniejszemi aktorami. Uznając talent niepospolity, którego niektórym dawniejszym aktorom nikt zaprzeczyć nie może, a który stawia ich na równi z europejskiej sławy artystami, publiczność wita ich oklaskami zaraz na wstępie. Z oświadczenia powyższego zaś wypływa, iż publiczność w nowych aktorach ceni talenta, usposobienie, gorliwość i chęci, przy dawniejszych tylko unosi się pamięcią dla zasług tyloletnich. Tym czasem według zdania naszego a podobno i powszechnego rzecz się ma inaczej. W kilku dawniejszych ceni wykończoną, artystowską pod każdym względem grę. W młodszych widzieć może jedynie, usposobienie i chęci wyrownania kiedyś dawniejszym. Dawniejsi są wzorem, na którym młodsi kształcić się mogą. Pani i pan Linkowski i pan Kaliciński wchodzą w rolę pani Aszpergerowej, Nowakowskiego i Smochowskiego. Czyż mogą sobie więcej życzyć, jak dorównania kiedyś tym ostatnim? Gdyby tego stanowiska swego obecnego nie pojęli, nie wiele by wróżyć sobie można o ich przyszłości. A istotnie gdyby im nie narzucano tak licznych a często niestósownych ról, gdyby im zostawiano więcej czasu do przemyślenia, do wypracowania każdej roli, w bardzo korzystny sposób skompletować mogą skład towarzystwa tutejszego. Członkowie ci mają wady członkom wszystkich wędrujących teatrów właściwe, a wynikające z pamięciowego głównie wyuczania się ról. Pod dobrym kierunkiem i przy dobrych wzorach prędko się tych wad pozbyć mogą.

Co do drugiej kwestyi, czy dla względów widocznie finansowych dyrekcya rozdzielając swe dosyć liczne towarzystwo na dwa osobne, zdoła dla Lwowa z samych tylko dawniejszych utworzyć komplet stósowny, zawieszamy na później, bo nie wiemy, którzy to *wszyscy*, co przy scenie tutejszej udział miewali, wezwani zostali napowrót.

* Od dziesięciu dni zjechały się do Lwowa wszystkie komissye do przeprowadzenia indemnizacyi mianowane. Jest ich dwadzieścia i cztery, na każdy obwód po dwie. Komisya każda składa się z przewodniczącego komisarza politycznego, z komisarza sądowego, z zastępcy fiskusa i jednego aktuaryusza. Komissye te zjechawszy się do Lwowa, rozpoczęły przeprowadzać pertraktacye indemnizacyjne w obwodzie Lwowskim. Jestto szkoła, którą pod przewodnictwem j. w. prezydenta krajowego przebywają, za nim udadzą się do swych okręgów. Codzień wieczór na pokojach u j. w. prezydenta zbierają się członkowie wszystkich komissyi i pod sterem prezydującego, rozbierają wszelakie trudności, które się z operatów nasuwają. Z przewidzionych dotąd pertraktacyi tyle wywnioskować można, iż komissye właścicielom ziemskim nie tylko że nie starają się wynachodzić trudności, ale przeciwnie z największą oględnością i z usuwaniem zawad w pomoc idą. Widoczny we wszystkiem jest zbawienny wpływ szanownego przewodniczącego komissyom.

* Przez Jassy udawał się książe Paszkiewicz na plac boju nad Dunajem. Jak drugi Cezar wjeżdżał tryumfalnie do miasta. Honory mu takie robiono jakby Cesarzowi. Bramy tryumfalne wystawiono i bito we wszystkie dzwony gdy wjeżdżał do miasta. Ku idącemu na mszą do katedry wyszedł na pół drogi metropolita z ewanielią i krzyżem, i carskiemi drzwiami wprowadzono go do głównego ołtarza, którędy tylko Cesarz wchodzi. Wesoło spędził w dobranem towarzystwie książę wieczór w Jassach, śród licznego koła dam, które na herbatę do Sylistryi zapraszał.

Wracając teraz do Jass, w największej ciszy było wszystko. Zaledwie wiedziano o jego przyjeździe. Tak to za szczęściem idzie wszystko.

Przyjechali od dnia 3. do 5. lipca do Lwowa:

PP. Badeni Aleksander, hr. ze Stryja. Romaszkan Zygmunt, z Uherska. Księżna Trubetzkoj z Wittgensteinów, z Czerniowic. Bąkowski Jan, hr. z Hnizdyrowa. Chyliński Maryan, z Rakowy. Torosiewicz Maurycy, z Ostrowa. Komorowscy Franciszek i Adam, hr. z Bilinki. Obertyński Henryk, z Bilinki.

PP. Kędzierski Juliusz, z Kuchajowa. Turkuł Tadeusz, z Biały. Czajkowski Hipolit, z Sarnek. Milewski Franciszek, z Helenkowa. Nahojowski Jan, z Kropiwnika. Medwej Franciszek, ze Stupnicy. Serwatowski Wojciech, z Przemyśla.

PP. Dzieduszycki Edward, hr. z Narola. Dzieduszycki Zygmunt, hr. z Medowy. Nikorowicz Karol, z Gródka. Piniński Leonard, hr. z Rokietnicy.

Wyjechali od dnia 3. do 5. lipca ze Lwowa:

PP. Trzciński Józef, do Żurawna. Jabłonowski Antoni, do Brzeżan. Łukasiewicz Łukasz, do Złoczowa. Barański Karol, do Chłopczyc. Książę Ghyka Konstanty, do Krakowa.

PP. Hoszowski Nereusz, do Żurawna. Żebrowski Tadeusz, do Derewacza. Orłowski Feliks, do Zagrobelli. Garapich Erazm, do Gaójw. Dzieduszycki Jan, hr. do Złoczowa. Zawadzki Karol, do Kruszelnik. Zawadzki Józef, do Stryja.

PP. Fredro Henryk, do Dubanowic. Turkuł Edward, do Krakowa.

Dzisiejszy. Kurs lwowski.	Gotówką				towarem.			
Dukat holenderski	zł r.	6	kr.	11	zł r.	6	kr.	14.
Dukat cesarski	»	6	»	15	»	6	»	20.
Półimperyał zł. rosyjski	»	10	»	48	»	10	»	52.
Rubel srebrny rosyjski	»	2	»	4	»	2	»	5.
Talar pruski	»	1	»	58	»	2	»	—.
Polski kurant i pięciozłotówka	»	1	»	30	»	1	»	31.
Galicyjskie listy zastawne za 100 złr.	»	91	»	50	»	92	»	20.

Kurs telegrafowany z Wiednia wczoraj 2 g. popołud.

Amszterdam	—.	Marsylia	—.
Augsburg za 100 złr.	$129\frac{1}{2}$.	Medyolan za 300 lirów	126.
Bukareszt	—.	Paryż za 300 franków	$150\frac{3}{4}$.
Frankfurt za 120 złr. podług $24\frac{1}{2}$ stopy	$128\frac{1}{2}$.	Agio duk. ces.	—
		Srebra agio	29.
Genua	—.	Pożyczka 5%	$85\frac{5}{16}$. $4\frac{1}{2}$ $75\frac{3}{4}$.
Hamburg za 100 tal. banco.	96.	Pożyczka lit. B.	—
Konstantynopol	—.	Akcye banku	—.
Liwurno	—.	Kolej północna	1715.
Londyn za 1 funt szterl.	12. 36.	Obl. ind.	5%. —

Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą: **H. W. Kallenbach.** Z drukarni **E. Winiarza.**

Doniesienia.